

Marek Nowakowski:

## REWIZJA

(opowiadanie ze zbioru "Raport o stanie wojennym")

Dziś bardzo rewidowali. Szczególnie młodych. A już jak któryś niósł torbę, czy plecak, to od razu został zatrzymany. Najgorszy był posterunek za kościołem Świętego Ducha. Mieszany. Milicjanci i żołnierze. Nikogo nie przepuścili. Oczy mieli bystre i wyczucie jakieś diabelskie. Szedł chłop z workiem. Popatrzyli i puścili swobodnie. Nawet się za nim nie obejrzel. Nie było w nich żadnej rozterki. Za chwilę pokazał się młody człowiek z dzieckiem. Córeczkę prowadził na spacer. Przez ramię miał przewieszony chlebak. Niepozorny, zielony chlebak. Już ich mijał.

— Chwileczkę! — powiedział milicjant z wąsikiem, cyganowaty z wyglądu, dwie belki nosił na pagonach.

Tak niedbale, kocio zbliżył się do młodego tatusia. Maszynową broń przewieszoną miał przez szyję. Prawą dłoń trzymał na ręczce. Myśliwy. Zaczął grzebać w tym chlebaku. Zręcznie i sprawnie. Papiery jakieś wyciągnął. Zwitek bibułkowatych maszynopisów sprytnie wsunięty do foliowego opakowania z włoszczyzną. Oczy mu się zaświeciły i zaprowadził młodego tatusia pod arkady. Tam urzędował dowódca posterunku. Zostawił zatrzymanego i zaraz stamtąd wyskoczył, gotowy do polowania na kolejną zwierzynę. Najwięcej miał trafień. W ciągu kilkunastu minut zatrzymał dziewczynę i starego o lasce. Znalazł coś u nich. Stary bardzo był przebiegły. Niósł wypchaną teczkę, a w niej nie. Jednak kapral był cwańszy od niego. Zaczął mu rewidować kieszenie. I znalazł. Ulotkę. Ucieszył się.

Żołnierze mniej się starali. Ale też musieli. Czasem kapral z wąsikiem odpoczywał sobie i patrzył na nich czarnymi, bystrymi ślepiami. Wszystko widział. Musieli ludzi zatrzymywać.

Podział pracy był taki: wojsko polowało po lewej stronie jezdni, milicjanci zaś trzymali się prawej strony.

Właśnie wypalił kapral papierosa i zajął się trzema studentkami. Szły sobie trzymając się pod rękę, roześmiane, jakby nic. Ale mu podpadły. Zatrzymał i pogrążył się w bebeszeniu ich torebek.

Wtedy prawie równocześnie jeden z żołnierzy też zatrzymał dziewczynę. Szła sama. W bardzo grubych okularach. Słabo musiała widzieć. Szła prosto na niego i młody żołnierz zagroził jej drogę. Nie był biegły w rewidowaniu. Zmarzniętymi palcami grzebał w jej białej torbie z napisem Coca-Cola. Wypadła na ziemię kosmetyczka. Podniósł szybko.

— Przepraszam — wymamrotał.

Nieśmiały żołnierz.

Wyciągnął z samego dna torby broszurę w zielonych okładkach. Wyraźnie lewa rzecz. Takie broszury wydawali w wolnych wydawnictwach przed wojną. Może i teraz wydają. Wyluskał z torby tę lewą rzecz i rozejrzał się jak złodziej.

Cygan, znaczy kapral MO, ciągle jeszcze był zajęty tamtą żeńską trójką. Inni też. Całą grupą otoczyli wysokiego w czarnym, wielkim kapeluszu. Niósł wielką walizę. I oni do tej walizy.

Młody żołnierz jeszcze raz rzucił dokoła płochliwe spojrzenie i z powrotem wpuścił tę zieloną broszurę do torby.

Dziękuję — powiedział. — Może pani iść.

Dziewczyna stała dalej, Wyraźnie oszołomiona. Czerwona jak burak. I naraz ruszyła szybkim krokiem. Bardzo niedoświadczona. Ale nikt niczego nie zauważył.